

ROK IV.
Kraków, dn. 3 Kwietnia 1910 r.
Nr. 14.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“. Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**
Numer pojedynczy 10 halerzy.

ZWIASTUNY.

Legenda ludowa.

Kiedy Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi, pachniały dokoła Niej same jaśminy... Skoro zaś odleciał wysłannik niebieski i Błogosławiona między niewiastami powstała z ziemi po długiej modlitwie samotnej, zapełniła się jej skromna izdebka przedziwną wonią kadzidła — niby w smętnej komnacie umarłych... Przeraziła się tem Marya wielce, albowiem na owe czasy znak taki bywał przepowiednią czegoś złego... Więc pomyślała sobie:

— Jakiegoż to smutku mam się spodziewać, skoro przecież zwiastowano mi przed chwilą, że winnam oczekiwać radości wielkiej, bo powiję syna.

I tak zastanawiając się nad tem, co ją spotyka niespodziewanie, wyszła z izby, chcąc zająć się, jak zazwyczaj gospodarską robotą. Aż tu patrzy, przystanąwszy w podwórku: siedm ptaków siedzi na płocie... Klasnęła tedy z uciechy w dłonie, wiosna bowiem właśnie nadchodziła i jej to zwiastunów skrzydlatych ujrzała Marya w tej chwili.

Dziwna rzecz jednakże, co się stało z temi ptaszkami przez ubiegłą zimę?... Toć to najwyraźniej jaskółki, tylko odmienione na ciemne, gdy tymczasem były one zawsze całkiem białe, jak najczystsze gołąbeczki... Trudno wątpić, są to jaskółki, na pewno dopiero co przyleciały; ależ czemu to one dzisiaj jakieś czarne z białem — jak żałoba w kościele, wyglądają niby ptaki złej wróżby, niby zwiastuny boleści i smutku, a przecież przybyły z dobrą nowiną, że wesoły dzień nastaje, bo wiosna się rodzi...

Posmutniała Panna Marya. Głowę zwiesiła z pokorą na piersi, szepcząc:

— Przeczuwam, Panie, ile boleści czeka serce Matki Syna Bożego!

A gdy wzrok swój potem podniosła ku niebu, migotały przed jej oczyma jeno tylko smugi białe i czarne, jako w pogrzebowej szacie. To wysoko w błękicie, ponad głową Wybranki Pańskiej, szybowały bociany, wypatrując miejsca na gniazda. Siedm ich było, tyleż co jaskółek...

Za chwilę zleciały na domostwo, w którem mieszkała Marya, która też wtedy, z nowem zdumieniem spostrzegła, że i te ptaki długonogie mają część piór czarną, chociaż przedtem były całe białe...

— A może wy, ptaszęta moje, to jeszcze zwiastujecie ludziom, że po wesołej wiośnie znowu przyjdzie smutna zima? — mówiła Marya, kojąc na chwilę żałobne przeczucia matczynego serca.

Aliści tego dnia jeszcze przy robocie w ogródku pokłuła się boleśnie cierniami. Gdy w domu później zauważyła ranki na palcach, policzyła, że było ich siedm. Więc sama do siebie zawołała ze łzą w oku:

— Panie, siedmiu boleści ciężkich oczekuje w pokorze wybrana przez Ciebie Matka Twoja.

I odtąd co rok z wiosną, patrząc na jaskółki i bociany, nie dziwiła się Służebnica Pańska barwom ich pierza, które zmienił Bóg właśnie w dniu Zwiastowania Swej Wybrance Narodzin Jezusa...

Przeczuwała wszystko, co jej one zwiastowały na przyszłość i rok po roku wyglądała ze spokojem dnia strasznej męki Syna Swego i okrutnych boleści własnego serca, matczynego serca...

A kiedy już pod Krzyżem stała Matka Boleściwa, przypomniała sobie skrzydlate zwiastuny radości i smutku z owej zagrody, w której mieszkała przy Swych rodzicach, zanim ją Pan z Niebios powołał na Bogarodzicę...

I przypomniała sobie, jak to Syn Jej, który teraz na krzyżu umiera, cierpiąc katusze, miłował w swych latach dziecinnych jaskółki i bociany i jak to one same zwykle przylatywały do niego bez lęku i pozwalały Mu bawić się miękkiem pierzem, Jezusek zaś maleńki głaskał je po czarnych piórkach...

Na oną to pamiątkę co rok jaskółki i bociany, przyleciawszy do nas z wiosną, krążą w dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, oraz w piątek Siedmiu Boleści NMP., nad przydrożnemi figurami Bożej Rodzicielki; potem zaś od Wielkiej Środy do Wielkiej Soboty, nad krzyżami z męką Pańską poza wioską, nad którymi też zawsze w nocy po Wielkiej Środzie ukazuje się siedm jaskółek zupełnie czarnych i siedm bocianów czarnych bez jednego białego piórka; ale tych ptaków ludzie widzieć nie mogą, tylko wszyscy apostołowie w niebie, z Jezusową Matką na czele, która się z góry do tych ptaków uśmiecha przez łzy boleści.

Krzyżacy na Litwie.

XVII. DROGA PODZIEMNA.

Powitanie w klasztorze. — Obawy Pojaty i strapienie Akseny. — Co robić? — Hałas przy wrotach. — Ucieczka pod ziemię. — Przełożonego opowieść o Krzyżakach. — Wyjście nad Wilię. — Jazda po rzece. — Pożegnanie z pobożnym chrześcijaninem. — Spoczynek w gaju świętym. — Trojdan idzie na zwiady. — Opowiadanie wieśniaka. — Trojdan schwytany.

Gdy za dwukrotnem wyrzeczeniem hasła nieszczęśliwi wygnańcy za furtę przyjęci zostali przełożony klasztoru, starzec dobry i wesoły, przywitawszy ich mile, zaprowadził do refektarza. Bojaźliwa Pojata, ujrzawszy się nagle śród naczelników chrześcijańskiej wiary, trzymając się swego przewodnika, z nieufnością spoglądała na starców i święte ich znaki. Wzrok jej niespokojny okazywał życzenie jak najprędszego z nimi rozstania się, pojąć atoli nie mogła, co znaczą te przychylne chęci, z któremi ich przyjmowano. Uprzedzona z dzieciństwa o nieżyczliwości chrześcijan dla Litwinów, w czułych starców zabiegach zdała się zdradę ukrytą spostrzegać. Ale Aksena, mniej bacząc na otaczające ją niebezpieczeństwa, o tem tylko myślała, co się stało z jej ukochanym małżonkiem, matką i bratem.

— Moi przyjaciele — rzekł Trojdan do zakonników — widzicie przed sobą dwie znakomite i nieszczęśliwe osoby, siostrę księcia i córkę Krywekrywejty, spodziewam się, że im nie odmówicie schronienia.

— Najmilszem jest dla nas zdarzeniem — odpowiedział przełożony — kiedy bliźnim możemy usłużyć. Tem się tylko trapimy, że te panie po książęcych przysmakach nie znajdą w zakącie naszym wygód, do jakich są przyzwyczajone.

— Ach! mój dobry, chrześcijański kapłanie — rzekła z westchnieniem Aksena — w nieszczęściu wszystko jest równem. Prócz tego my tu długo bawić nie możemy; bądźcie jednak pewni, że gościnność wasza nie będzie wam zapomnianą.

— Trzeba tu zostać — rzekł Trojdan — tak długo, aż niebezpieczeństwo zupełnie minie; ja myślę, że do jutra rana wszystko wróci do dawnego porządu; bądźcie więc panie spokojne śród tych poczciwych ludzi, ja za nich ręczę, ale sam wracać muszę do świątyni, bo jutro wypada dzień mojej służby.

— Co mówisz Tojdanie — rzekła bledniejąca Pojata — chcesz nas śród nieznajomych zostawić? Nie, nie! przysięgam na bogi, są tam inni, którzy cię wyręczą, a bogowie przebaczą uchybienie służby dla ratowania nieszczęśliwych.

— Trojdanie! ja wracam z tobą — odezwała się Aksena.

— Ach! nie! uchodźmy raczej w bezpieczniejsze miejsce — rzekła Pojata.

— W bezpieczniejsze? — rzekł przełożony. — Myślę, iż w całej okolicy niema domu mniej wystawionego na rabunek, jak nasz klasztor ubogi. Wreszcie, przezacne panie! tylko proszę tego nikomu nie mówić, w przykrym razie mamy tu dobre schowanie. Ale ponieważ bardzo nam wiele na tej kryjówce zależy, nie inaczej do niej przyjmiemy jak tylko z zawiązanemi oczyma.

Zadrżała na ten opis Pojata.

— Gdzież jesteśmy! — mówiła cicho do Akseny. — Oni nas życia pozbawią i nikt wiedzieć nie będzie. Nie — rzekła głośno — my na to pozwolić nie możemy.

— Jeśli nam nie ufacie, przezacne panie — odezwał się młody braciszek, są jeszcze inne sposoby ujścia od nieprzyjaciół. Prócz tego Troczanów jeszcze nie widać. Właśnie teraz północ, wszystko koło klasztoru spokojne, ja znam doskonale manowce, i jeśli ojciec przełożony pozwoli, wywiodę was na gościniec, prowadzący w góry Ponarskie, a tam raz się dostawszy, już się niczego nie będziecie obawiać.

— Co waść pleciesz! co waść pleciesz — mówił przełożony — zakonnik z dwiema niewiastami żeby się włóczył po nocach? Czy chcecie, żeby was wilki w górach pożarły, albo hultaje rozbili? Nic z tego nie będzie.

Zastanawiano się jednak nad podaniem braciszka. Trojdan utrzymywał zdanie przełożonego, przekładając niebezpieczeństwo spotkania czat nocnych. Aksena chciała klasztor opuścić, biedz prosto do Wilna; Pojata tylko w wyborze niepewna, nie wiedziała, do jakiej strony się przychylić. Uradzono wreszcie, iż mają wszyscy wracać do Wilna. — Już niecierpliwa Aksena, pożegnawszy starców, zabierała się w drogę, gdy do bramy zbliżywszy się nagły i mocny usłyszała łoskot z nadworza.

— Otwórzcie, bracia! czemprędzej otwórzcie! — bijąc we wrota okropnie, wołał gos nieznajomy.

Pojata struchlała prawie. Trojdan szybko wzniół się na dzwonnicę i mimo ciemności nocnej, spostrzegł wyraźnie białe płaszcze i lśniące szyszaki. Zbiegłszy na dół czemprędzej, krótko oświadczył, że już nie ma wyboru i taki trzeba przyjąć ratunek, jaki jest jeszcze w możności.

— Ratuj nas, ratuj! — wołała do przełożonego Pojata i chętnie oddawała do zawiązania piękne swe oczy, byleby jak najprędzej ujść mogła strasznego do bramy klasztornej stukania, które zmieszane z groźbą i przekleństwem, coraz natarczywsze się stając, okropną ją przenikało trwogą.

— Bodajeście głowami tak tłukli! — mówił przełożony, zawiązując oczy podróżnym. — Ani chybi, to są te same Krzyżaki, co nam wczoraj wizytę oddali, ale licha zjedzą, jeśli co wskórają.

— Miarkując po głosach — rzekł braciszek — zdaje się, że dziś w większej przybywają liczbie.

Wspomnienie Krzyżaków nowego dodało pośpiechu; zawiązawszy tedy dobrze wszystkim trojgu oczy, przełożony kazał im się pobrać za ręce, braciszkowi polecił straż tylną, sam zaś wziąwszy za rękę Trojdana, cały ten szereg prowadził długiemi krętemi schodami na górę. Posłuszne niewiasty postępowały w milczeniu; Pojata, chociaż nie wiedziała gdzie idzie, tem się cieszyła przynajmniej, że łoskot bram coraz od niej się oddalał.

Wkrótce spuszczać się zaczęli po wązkich i nierównych schodach, z których zszedłszy, przełożony kazał im się zatrzymać, sam zaś z braciszkiem zajął się otworzeniem nowego wchodu. Po chwili wprowadzeni na drogę spadzistą i wilgotną, szli długo, spokojnie, coraz zimniejszem oddychając powietrzem. Uszedłszy kilka tysięcy kroków, kazano im się zatrzymać i zdjęto z oczów zasłony; wtenczas z wielkiem zadziwieniem i przestrachem ujrzeli się nagle śród długiej pieczary, prosto w ziemi wydrążonej. Przełożony trzymał w ręku zapaloną pochodnię, a braciszek oświetloną latarnię i świec kilka pod pachą, które zapaliwszy, rozdał podróżnym dla powiększenia światła. Spostrzegł

przełożony ich trwogę i chcąc dodać odwagi opowiadał różne wypadki, dla których nieraz w tych lochach musiał szukać schronienia.

— W czasie napadów Tatarów, Krzyżaków — mówił, idąc przodem — i innych odwiedzin, nieraz odbywamy tę podziemną pielgrzymkę i często w niej kilka dni zostajemy. Mamy tu wodę i drew zapas potrzebny, tu wcześnie znosimy nasze sprzęty i żywność. Wtedy rozigrani goście, wpadłszy do pustych cel naszych, naklną, nałają, często kordem zostawią na drzwiach, ławach i stołach znaki bytności swojej i z niczem, skąd przyszli, wracają. My potem jak myszy z nory wyłazimy, znosimy rzeczy i znów żyjemy, jakeśmy żyli.

— Widzę, moi przyjaciele — rzekł Trojdan— że bezpieczniejsi w tej pieczarze jesteście, niż wielu książąt na swoich zamkach, bom nawet uważał, żeście się nie bardzo zmieszali dobijaniem się do wrót waszych Krzyżaków. Ale chciejcież mi powiedzieć, kiedy ja do nich zapukał, za kogoście mnie wzięli?

— Właśnie myślałem — odpowiedział starzec — że z tym samym Krzyżakiem rozmawiam, co tam teraz dobywa się; bo trzeba wam wiedzieć, że oni nibyto nas po przyjacielsku odwiedzają i myślą, że wielką nam i chrześcijaństwu czynią przysługę, kiedy przywiodą jaką wylękłą i zbiedzoną sierotę do ochrzczenia. A niech ich licho weźmie z ich nawracaniem.

— Więc to już nie pierwszy raz odbieracie tę wizytę krzyżacką? — zapytała Pojata.

— Rzecz stę tak ma — mówił przełożony. — Przed samym tym nieszczęśliwym napadem na Wilno przyszedł do mnie jakiś ze starszych bogato ubrany Krzyżak, uwiadamiając, że nawrócił na wiarę młodą i znakomitą w Wilnie pannę i prosił dla niej o schronienie na parę godzin, obiecując sowitą nagrodę za jej przechowanie; dodał zaś, że ją w nocy przywiedzie. Zaraz mi się niepodobała ta nocna pielgrzymka; żebym się jednak pozbył natręta, anim mu obiecywał, ani odmawiał przyjęcia, bo tak z nimi najlepiej: ale skoro się tylko oddalił, mocno drzwi zatarasowawszy, postanowiłem wcale nie wdawać się w te chrzciny, które już nieraz na nas najsroższe sprowadzały biedy. Tymczasem napadł Kiejstut na Wilno. Zaledwie pierwszy ogień przeminął, gdym usłyszał wasze do wrót stukanie i gdybyście się byli nie odezwali wyraźniej, pewniebym, myśląc, żeście Krzyżacy, wcale was do klasztoru nie przyjął. Owóż teraz zapewne te swawolniki przywodzą swoją ofiarę; ale długo szturmować będą nim im odemkną.

— Dokądże nas wiedziesz, dobry staruszku— zapytała Aksena — i kiedyż się już ta okropna skończy pieczara?

— Ale jużeśmy uszli z połowę pieczary? — zapytała Pojata.

— Być może, że i więcej cokolwiek — odpowiedział starzec. — Pochodnie już są na dokończeniu, a właśnie tyle z klasztoru tu drogi do brodu, ile wystarcza zapalonej pochodni.

— Do jakiego znów brodu? — zapytała Pojata.

— Do brodu — odpowiedział starzec — który przebyć nam trzeba, abyśmy się dostali za Wilię.

— Bogowie! — zawołała Pojata — ten człowiek nas zgubi! Całą noc wodzi po lochach, jeszcze chce na wodzie doświadczać! Wszakżeśmy tylko żądali dostać się na gościniec kiernowski.

— Tak jest, na gościniec kiernowski — odpowiedział starzec. — Ale bądźcie panie spokojne, nie zamoczywszy wam nóżek, wysadzę na brzeg szczęśliwie.

— A ztamtąd do Kiernowa brzegiem Wilii będziemy mogły dostać się, nieprawdaż? — pytała Pojata.

— Zapewne! nasza droga jest w kierunku Kierniowa — odpowiedział starzec — a ja się będę starał, żebym ją wam jak najkrótszą uczynił.

Ale już zbliżał się koniec ich drogi podziemnej. Piasek coraz był wilgotniejszy; przełożony zapewniał, że najdalej za pięćset kroków staną u brodu. Jakoż w rzeczy samej wkrótce przyszli nad wodę, która całą zajmowała pieczarę. Obszerne czółno stało przywiązane do słupa utkwionego w ziemi, a w niem kilka leżało wioseł. Nowy to był powód trwogi dla Pojaty; ale przykład Akseny, a nadewszystko nadzieja prędkiego wydobycia się na świat, wkrótce ją ośmieliły. Przełożony kazał wsiąść podróżnym w czółno i znów zawiązawszy im oczy, odbił od brzegu. Dwaj zakonnicy robiąc wiosłami, wiedli z lekka statek po wodzie. Po chwili kazano im dobrze schylić głowy, żeby się o sklepienia pieczary nie uderzyli i wnet wolniejszem zaczęli oddychać powietrzem; uczuli nagły miły powiew wiatru, który ich ożywił, a czółno coraz szybszym szło pędem; wtenczas pozwolono odwiązać oczy.

Jakaż była radość, gdy się nagle ujrzeli pośrodku Wilii! Właśnie zabierało się na dzień. Znikła okropna pieczara, a zamiast jej ścian piaszczystych, dwa brzegi rzeki, lasem okryte, a odzywające się śpiewem rannych ptaków, zdały się ich witać, jakby z drugiego świata przybyłych. Najpierwszem było staraniem Pojaty złożyć dzięki wybawcy swojemu. Wdzięczność jej wyrównywała radości. Nie mogła znaleźć wyrazów na uwielbienie tego samego staruszka, który przed chwilą był celem jej niedowierzania i trwogi.

— Przybijże, przybij czemprędzej dobry chrześcianinie, do brzegu — mówiła uradowana dziewica — tylko do tego brzegu, bo Kiernów z tej strony leży. Już i tak tyle dla nas trudu podjąłeś.

— Bynajmniej — odpowiedział starzec — co się upłynie, to się iść nie będzie; a wy, panie, tymczasem w czółnie spocznijcie po drodze. Jeszcze nie zaraz przybijemy, naprzód dlatego, że tu wszędzie brzegi wysokie i głuchym lasem okryte, a potem, żem i ja się dobrze nachodził. Wiem, kiedy was wysadzę. Gdyby nie te Krzyżaki, popłynęlibyśmy sobie aż do Kiernowa, tylko, że mię ich wizyta niespokojnym czyni, więc muszę powrót przyspieszyć. Tymczasem jeszcze z pół milki upłyniemy. — Prócz tego Wilia spokojna, nie mamy się czego obawiać, a pracy niewiele, żeby z wodą płynąć.

Tak przy powiększającym się świcie czółno, za pomocą braciszka i Trojdana, który także wziął się do wiosła, szybko pędziło po spokojnej głębi. Starzec, lubiący gadać, opowiadał podróżnym różne wypadki wojenne, które za Olgierda i poprzedników jego zaszły na brzegach tej rzeki, sławnej w dziejach litewskich. Dzień już był zupełny, gdy starzec, skierowawszy czółno, przybił do brzegu, oświadczając, że to jest port ich pożądany.

— Teraz, moi mili — mówił do wysiadających — macie wiedzieć, że jesteście o dobre dwie mile od Wilna, i nie trzeba się wam już lękać ani Kiejśtuta, ani Krzyżaków; radzę wam jednak, żebyście tu w chacie jakiej przez ten dzień wypoczęli dobrze, a jutro o świeżych siłach do Kierno-

wa, lub gdzie się wam podoba, ruszyli. Bądźcie więc zdrowi, niech was błogosławi Opatrzność!

Do Trojdana rzekł zcicha znajome wyrazy hasła i nieznacznie ścisnąwszy młodzieńca za rękę, wrócił do czółna i puścił się z braciszkiem napowrót.

— Bądź zdrów i zajedź do domu szczęśliwie! — wołała za odpływającym starcem Pojata.

Aksena równie mu była życzliwą, lecz boleść mówić jej nie dozwoliła. Patrząc łzawem okiem na oddalającego się starca w miejsca, w których wczoraj była tak jeszcze szczęśliwą, a które w tej chwili są może skropione krwią najmilszych jej osób, nie była w stanie dzięk swoich oświadczyć.

Tymczasem oddalając się starzec, w zakręcie rzeki między zaroślami prędko zniknął im z oczu. Pojata pierwszy raz w życiu żal uczuła po ubyciu chrześcianina; zdało się jej nawet, że mniej jest bez niego bezpieczną i spoglądając za starcem, póki był tylko dojrzanym, mówiła do Trojdana z czułością:

— Czyż to być może, aby ten niewierny tyle był cnotliwym! — Zachował nam życie, zawiódł w miejsce bezpieczne i nawet za swój trud żadnej nie żądał nagrody.

— Mylisz się, Pojato — odpowiedział Trojdan — jeśli myślisz, że ten starzec tyle ci tylko dobrego uczynił, iż cię przed napadem Kiejstuta ochronił. O! gdybyś wiedziała, jak z daleko większego wybawił cię nieszczęścia, możebyś jego zasadom zupełną słuszność oddała.

Czyli Pojata, zajęta upatrzeniem na spoczynek miejsca, mniej dawała baczności na słowo Trojdana, czyli też wiedzieć nie chciała o rodzaju nieszczęścia, którego uszła, dość, że zostawiła słowa jego bez odpowiedzi, a pocieszając stroskaną Aksenę, postępowała obok niej brzegiem rzeki po piasku. Tak idąc kilka staj, wkrótce podróżni ujrzeli się na łące, gęstem krzewiem okrytej. Była to obszerna równina, zachodząca w las, który się wznosił na przyległem wzgórzu. Stare i samotne dęby, gdzieniegdzie na łące stojące, trzymać zdawały się straż tego pobrzeża, a bujna jego trawa wabiła na spoczynek strudzonych.

— Tu spocząć nam trzeba — rzekła Aksena — moje nogi już mię dłużej utrzymać nie mogą. Niech zresztą będzie wola bogów.

I ległszy z towarzyszką pod rozłożystym dębem, obie się nie spostrzegły, jak sen zmordowane ujął im powieki.

Trojdan tymczasem, chcąc poznać okolicę, wziął w rękę oręż, bo trzeba wiedzieć, że od wyjścia ze świątyni nie rozłączał się z kordem, którym napastników gromił, i zapuścił się w las. Zdziwiła go mocno czystość nadzwyczajna gaju i jego w różnym kierunku otwory. Nie były to ani drogi, ani ulice, ale raczej niewielkie łączki i stoki zielone, na których kupami młode wzrastały drzewa, gdy stare dęby, brzozy i jawory ciemną po stronach składały gęstwinę. Zachwycony młodzieniec, przebiegając gaj śliczny, spostrzegł stojący na wzgórku posąg Puszczeta, bożka puszcz świętych, okryty krzakiem róż polnych, i zaraz domyślił się, że las ten piękny bogom jest poświęcony. Ucieszył się bardzo z tego odkrycia, bo się spodziewał znaleść w bliskości mieszkanie dozorcy drzew świętych, jakoż kilka kroków uszedłszy, spostrzegł nad strumieniem małą, lecz porządną zagrodę. Właśnie w tej chwili młody wieśniak, śpiewając pieśń ranną, wypędzał bydło na paszę. Zbliżył się do niego Trojdan, pozdrowił go i o gościnność upraszał.

— Zapewne, pobożny młodzieńcze — całując z uszanowaniem brzeg szaty Trojdana, rzekł wieśniak — uchodzicie z Wilna przed najazdem Troczanów? Musieli oni tak niemało złego narobić, kiedy i słudzy bogów nie mogli zostać na miejscu. Ludzie, co się przebierali tędy, powiadali, że oba zamki spalone. Niech im bogowie nie pamiętają! Czy żyje przynajmniej Znicz święty?

— Żyje, mój kochany, żyje, tak się spodziewam, ale powiedz mi, czy nie mógłbyś nas czem posilić i dać na chwilę schronienie!

— To was tu jest więcej? Bardzo dobrze. Czyż mógłbym wam co odmówić? ale chodźcież do izby, jest tam wprawdzie żołnierz ze starszyzny z dwoma wojakami, ale to poczciwi jacyś ludzie, pewnie nic wam nie zrobią.

— Czy nie są to tylko Krzyżacy? Bo ja ci się przyznam, że nie jestem sam i mam z sobą dwie wielkie panie, które ze mną z Wilna uchodzą.

— Dwie wielkie panie! — powtórzył wieśniak zdziwiony. — Toż to tam musiało być gorąco, kiedy nawet i one uchodzić musiały! ale gdzież są?

— Zaraz będziesz je widział, tylko radbym się wprzód przekonać o bezpieczeństwie od tych wojskowych.

— Ale na moje słowo, czy ten żołnierz jest Krzyżak, czy Żmudzin, ja was zapewniam, że niema na świecie spokojniejszego człowieka. On sam pożałowania jest godzien. Musiał biedny w Wilnie mieć siostrę, matkę, albo kogo innego, bo często wzdychając, wspomina Pojatę.

— Jak mówisz, Pojatę wspomina? — powtórzył Trojdan strwożony.

— Tak jest. Pojatę jakąś bardzo często wspomina. Ale cóż to was tak obchodzi? Bogowie z wami! alboż to jedna na świecie Pojata?

— Słuchaj, mój miły, ja muszę stąd natychmiast uchodzić. Ten żołnierz jest niezawodnie Krzyżakiem, który oddawna na nią czatuje. Pojata jest córką Krywekrywejty. Ona jest stąd o kilka kroków.

— Czy to być może? tu ma być córka naszego Krywekrywejty? cóż to dla mnie za szczęście! córka Krywekrywejty! — powtarzał wieśniak pełen radości. — Jam jeszcze jej nigdy nie widział, niechże tak będę szczęśliwy, aby moją nawiedziła chatę. Chodźmy, chodźmy do niej czemprędzej.

— Stój! skąd jesteś, jak się zowiesz i co tu robisz z orężem? — rzekł groźnie jeden z dwóch wojaków, wychodzących z lasu. — Jesteś niechybnie szpieg przebrany. Chodź, kochanku, do izby, tam się lepiej sprawisz! — I wnet Trojdana otoczywszy, prowadzili go do mieszkania zdziwionego wieśniaka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZŁOTE MYŚLI.

Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać.

Adam Asnyk.

Dobrodziejstwa póty są miłe, póki się z nich wypłacić można, lecz kiedy przebrały miarę, niewdzięczność w zysku odnoszą.

Pisarz rzymski Tacyt.

Nie płacz w szczęściu, bo płacz ci więcej szczęścia nie da;
Nie płacz w biedzie, bo z płaczem jeszcze większa bieda.

Ant. St. Bassara.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

Jednym z potomków owego Piasta kołodzieja był Mieszko, czyli Mieczysław I. O ile o jego poprzednikach wiemy tylko coś niecoś z ustnych podań, nie zawsze pewnych, o tyle o Mieszku jesteśmy przekonani, że on żył rzeczywiście i panował nad ziemią polską, gdyż o tem już współcześni mu ludzie w książkach pisali.

Mieczysław był poganinem jak i jego poprzednicy; miał nawet siedm żon, ale choć ich miał tak wiele, Pan Bóg nie dawał mu potomstwa. Wtedy chrześcijańscy pustelnicy, którzy tu i ówdzie już żyli w Polsce, poradzili mu, aby się ochrzcił i jedną sobie wybrał żonę, za co go pewnie Bóg potomstwem obdarzy. Usłuchał tej rady Mieczysław, posłał do sąsiedniego narodu czeskiego i prosił ich króla, aby mu dał za żonę swą córkę Dąbrówkę. Król czeski, który już był chrześcijaninem przystał na to pod warunkiem, jeżeli Mieczysław się ochrzci. Mieczysław przyjął więc Chrzest św. w Gnieźnie i ożenił się z Dąbrówką.

Zadowolony z tej zmiany i szczęśliwy, postanowił cały naród nawrócić do prawdziwej wiary.

W tym celu począł burzyć posągi pogańskich bożków i ich świątynie, a na ich miejsce wznosić krzyże i kościoły.

Przerażeni pogańscy kapłani uciekali od swych bożków z trwogą, myśląc, że świat się zawali, a tu tymczasem kraj pod mądrymi rządami Mieczysława i jego następców rósł w chwałę i potęgę.

Pan Bóg rzeczywiście błogosławił Mieszkowi, gdyż obdarzył go potomstwem, a ziemie polskie rządzone dotychczas przez wielu władców, zaczęły się łączyć w jedno państwo i coraz dzielniej opierać się najazdom Niemców, którzy łakomem okiem patrzyli na posiadłości Piastów.



Mieczysław I.

Dumania wieczorne.

Znużony wędrowiec już dalej iść nie może, musi odpocząć, bo nogi wypowiadają mu służbę. Strudzony na roli kmiotek, choć wie, że pracuje dla siebie, jednak musi przerwać swą pracę, aby wypocząć. Zmęczone nad księgami oko woła o wypoczynek, a spracowane piersi żądają wytchnienia.

Tylko myśl odpocząć nie chce, ona rwie się gdzieś w dal, zwraca się w przeszłość, wyrywa się do przyszłości, rozbiera teraźniejszość, odrywa się nawet od ziemi i pędzi gdzieś w zaświaty poza słońce, poza gwiazdy, gdzieś tam w niezgłębioną dal, aby w jednej chwili wrócić znowu na ziemię i cofnąć się wstecz o całe dziesiątki a nawet setki i tysiące lat.

Snuje i rozwija obrazy z życia minionego, tworzy nowe zdarzenia i nowe buduje stosunki na świecie. Nie męczy się nigdy i nie przestaje pracować nigdy. Nawet we śnie, gdy ciało leży bezwładne, a zmysły nic nie wiedzą, co się wokoło człowieka dzieje, myśl nie przestaje być czynną i ruchliwą. Ciało spoczywa, a ona snuje nowe, jakieś inne obrazy, nieraz nawet na moment zaglądnie w przyszłość.

Cóż to jest, co we mnie myśli?

Jest ono jakby czemś drugiem we mnie, jakby jakiemś drugiem „ja“.

Gdy czuwam, wtedy to drugie „ja“ rządzi mojem ciałem. Na jego rozkaz poruszają się ręce, nogi, oczy, usta, jego rozkazowi nawet myśl jest posłuszna i tam biegnie, gdzie ono ją wysyła. Tylko serce nie chce mu być posłuszne, nie przestanie bić i rozsyłać krwi po całem ciele, choćby mu nie wiem jak rozkazywało. Są też i inne czynności ciała, które nie zależą od woli tego myślącego „ja“. Te czynności zarządziła wola wyższa i nie poddała ich pod wolę tego rządzącego ciałem „ja“.

To właśnie, co rządzi mojem ciałem, co kieruje nawet myślą moją, to jest mój duch... To jest ten duch, który ożywia ciało moje i używa go jako swego narzędzia, jak krawiec igły lub cieśla siekiery. Różnica jest tylko ta, że on w ciele swojem mieszka, że to ciało całe przenika w jakiś dziwny sposób. Nikt bowiem nie zbadał i nie zbada, w jaki sposób duch jest z ciałem złączony.

Gdy umrę, to przecież ciało moje będzie to samo, które jest za życia, a jednak już nie będzie ani czuło, choćby je krajali, ani nic nie zobaczy, choćby oczy miało otwarte, ani nic nie usłyszy, choćbyśmy nie wiem jakiemi słowami do niego przemawiali. Cóż się z niem stało? Opuścił je duch. Nawet całe już nie poleży długo, wnet psuć się zacznie, gdy go nie będzie ożywiał duch, wnet zmieni się w trochę zgnilizny, a wreszcie w proch. Nawet kości w proch się zamienią. Choćbyśmy wzięli mu-

mie egipskie, które są także ciałami zmarłych, zaprawionemi najstaranniej rozmaitymi balsamami, żywicami i t. p., a które przez to przechowały się dotąd przez parę tysięcy lat, to i one są tylko troszką prochu, sklejonego tymi właśnie balsamami i zabezpieczone na czas dłuższy od rozkładu czyli gnicia. Ale niech jeno pochwyci je ogień, cóż z nich zostanie?

Troszka prochu!

Z tych wielkich i potężnych cesarzów, z tych mądrych i władających światem królów i faraonów tylko troszka prochu! A z nas cóż będzie po upływie jakiegoś czasu, gdy duch nasz ciało nasze porzuci? Zaprawdę nic innego, tylko troszka prochu!

A więc ten myślący „ja“ odejdzie z ciała mojego, porzuci je jak niepotrzebną skorupę, czyli inaczej powiedziawszy, ja opuszczę swoje ciało, jak stolarz porzuca swoją piłkę, która się zdarła i na nic mu się już przydać nie może.

I cóż się dalej ze mną stanie?

Ciało moje zakopią do ziemi i już się o nie troszczyć nie będą, ani nawet zaglądać na nie do wnętrza grobu i do trumny nie będą, choćby mnie tu za życia całem sercem kochali. Przyjdą nad grób, pomodlą się, zatęsknią za mną, może i zapłaczą i odejdą do swoich zatrudnień, a wreszcie zapomną.

Przyjdą inne pokolenia, pomniki się rozsypią i nikt tu nawet wiedział nie będzie, żeśmy żyli na tym świecie, w tem mieście lub w tej wiosce.

A duch? Cóż się z nim dzieje?

Z jakąż to ciekawością zajrzelibyśmy poza grób! Jak bardzo pragnęlibyśmy choć na moment przypatrzyć się temu, co się dzieje z duchem ludzkim po odejściu z ciała? Lecz niestety, ponad to, co nam wiara mówi, nic więcej nie wiemy. Zajrzeć nam tam nie wolno za życia. Wiara mówi nam:

„Miłuj Boga i żyj uczciwie, a będziesz szczęśliwy“. Ale każdy duch pcha się natrętnie myślą w tę ciemną przyszłość swoją, pragnąłby choć maleńki rąbek tej strasznej zasłony uchylić, aby tam zajrzeć, aby choć odrobinę wiadomości z tamtego świata zachwycić. Jednak żaden podobno rozum, żadna siła woli zasłony tej nie przebije. Musimy więc na tem poprzestać, co wiemy z woli Bożej objawionego, co nam religia mówi.

Czyby też na świecie nie znalazło się coś takiego, cobyśmy ze śmiercią ciała i odejściem ducha porównać mogli? Coś takiego, coby zmysłom naszym choć jaki taki obraz dało tej ostatniej życia naszego chwili? Jak myśli z ciałem, tak ducha z materyą tembardziej porównywać nie możemy, bo wszelkie porównanie będzie nieudolne i do istotnej prawdy niepodobne. Ale spróbujmy choć nieudolnego porównania.

Nieraz widzieliśmy gąsienice niszczące kapustę. Wylęgają się z jajeczek całemi gromadami, gryzą najpierw to, co mają tuż koło siebie, potem rozłażą się po innych liściach i krzakach kapusty, objadając je, żyją, rosną, aż nareszcie przychodzi czas, że tracą apetyt, stają się ociężałe, smutne, opuszczają swoje żerowisko, szukają miejsca zacisznego, a znalazłszy je, przyczepiają się tam, siedzą smutne i nieruchome, kurczą się i przekształcają w poczwarkę, która już do gąsienicy zupełnie jest niepodobna. Gdyby taką poczwarkę zobaczyła inna gąsienica, a umiała się nad tem po ludzku zastanawiać, to pomyślałaby sobie, że siostrzyca jej umarła, że poczwarka to jej trup i ze zgrozą odeszłaby od niej.

Tymczasem poczwarka to nie trup. Tam tworzy się nowe życie, nowa istota, znów do poczwarki ani do gąsienicy niepodobna. Z poczwarki po jakimś czasie wylatuje motyl. Ot, mamy podobieństwo, choć bardzo mizerne. Albo inne:

Znamy piękne owady, latające ponad wodami około zarośli. Skrzydełka ich lśnią się tęczowemi barwami. Są to świtezianki. Składają jajeczka na brzegu wody, z nich wylęgają się robaki. które żyją we wodzie. Wyobraźmy sobie, że one żyją i myślą, jak ludzie. Gdy która z nich zestarzeje się, smutnieje i już się prawie poruszać nie może, odprowadzają ją inne, jakby do grobu, do jakiegoś sterczącego z wody patyka. Ostatkiem sił czepia się umierająca tego patyka, posuwa się ku górze i trzymając się w śmiertelnym kurczu tego patyka, zamiera. Inne, pożegnawszy towarzyszkę na zawsze, opłakawszy jej utratę, wracają do swego zwykłego życia. A z tym trupem cóż się dzieje?

Po jakimś czasie wylatuje z niego śliczna świtezianka. Skorupka rozleciała się w pył, a ona buja sobie w promieniach słońca swobodnie, nie wiedząc nawet o tem, że jej poprzednie towarzyszki może ją jeszcze wspominają i żałują jej straty we wodzie.

Ani robaki z wody wyjść bez utraty życia nie mogą, ani świtezianka zagłębić się w wodę nie może.

Inaczej rzecz się ma z obiecanem nam poza grobem szczęściem. Tego już niejeden człowiek tu w życiu zakosztował.

Wyobraźmy sobie, że ktoś bardzo pragnął n. p. majątku i zdarzyło się, że wygrał los i stał się bogatym. Czy nie czuł się wtedy szczęśliwym? Drugi kupił od dawna upragniony dom lub grunt — i ten cieszył się bardzo z nabytku. Znów inny okrył się sławą, co dało mu wielkie zadowolenie.

Wiele podobnych przykładów ziemskiego szczęścia moglibyśmy przytoczyć, lecz szczęście to nie jest tem szczęściem, którego tam poza grobem się spodziewamy, ani nawet nie podobne do tamtego.

Przypomnijmy sobie tylko, czy nie mieliśmy kiedy takiej chwili, w której wszystkie takie szczęścia rzucilibyśmy jako marne i wstrętne dla zatrzymania tej właśnie chwili szczęścia duchowego. Może to było po Komunii św., może w czasie gorącej modlitwy, może kiedyindziej.

Dana nam jest możność ukształtowania i przybrania, przyozdobienia naszego ducha, dokąd tu żyjemy. Możemy go uczynić pięknym, wspaniałym, jaśniejącym tak, że samemu Bogu podobać się będzie, możemy też zeszpecić go tak, że sam djabeł wzdrygnie się na widok tej obrzydliwości.

Sądząc z tego, co nam wiara nasza mówi oraz z tego, jak wyglądał Chrystus Pan po swojem zmartwychwstaniu, a wreszcie z objawienia się Najśw. Panny Maryi w Lourdes: duch nasz będzie miał postać ciała naszego, ale chyży i lotny, jak myśl, przenikający wszelką materyę, nie potrzebujący miejsca w przestrzeni, a co do stanu istoty swojej będzie albo wspaniały, albo okropny, uwielbiony albo przeklęty, bez granic szczęśliwy albo nieskończenie nieszczęśliwy.

Zależy to od życia tu na ziemi.

Czyż to być może, aby złodziej, krzywdziciel, rozpustnik, depcący prawa natury, prawa Boże, aby ten, który zbrodniczą rękę odważył się podnieść nawet na własnego ojca, aby taki człowiek przy śmierci wydał ducha pięknego. szczęśliwego?

Jestże to możliwe?

Każdy jest kowalem szczęścia swojego!

Stanisław Brzostyński.

GORZKI WYRZUT.

(Z legend o Panu Jezusie).



Uchodząc od tych, których nie zdołały
Nawrócić cuda, ani przekonały
Prawdy podane w formie przypowieści,
Szedł Jezus pełen smutku i boleści
W puszczę, gdzie mieszkał w norach zwierz wszelaki
I płaz, a w krzakach gnieździły się ptaki.
I siadł pod drzewem.
Po niedługiej chwili
Lew z nosorożcem doń się przybliżyli;
Głów uniżając, legli u stóp Jego.
W chwilę potemu wilk i niedźwiedź biegą;
Za nimi borsuk, koziorożec z liszką
Leśną do Niego przybieżeli ścieżką;
I kornym Pana witając ukłonem,
U stóp Mu legli, ruszając ogonem.
Lekka gazela spieszy lasu krajem,
Za nią łasica, sobol z gronostajem;
Niskim ukłonem pozdrawiając Zbawcę,
Też się przy tamtych ułożyły w trawce.
Z traw, błot kuliki ciągną i bekasy,
Śpiewaki leśne opuszczają lasy,
Drozdy i kosy, gile i czyżyki
I wirtuozy tej leśnej muzyki
Ściągły ku Panu. — Czaple i żurawie
I boćki kroczą zwolna po murawie.
Kupi się gęsto skrzydlate stworzenie,
I na swój sposób dawszy pozdrowienie,
Siadło do koła.
Aż tu w jednej chwili
Barwny ku Panu spieszy rój motyli,
Chrząszczów, pszczół, muszek... A każde się skłoni;
Brzęcząc, latają koło Pańskich skroni.

Żaby z mokradeł ruszyły i raki,
Glisty, jaszczurki i płaz jaki taki.
Wszystko to pełza, czołga się i skrzeczy,
Witając Stwórcę i Pana wszechrzeczy.
I wszystko składa pokłon uniżenie. —
Poznało Pana swojego stworzenie!...

Cisło się wszystko — jak do swego Ojca
W zgodzie, jak niegdyś w obrębie Ogrojca.
I było, było takie mnóstwo tego,
Jako w korabiu praojca Noego.

A Jezus każde do siebie przyzywał,
I ręką gładząc, wielką okazywał
Łaskawość, mówiąc swemu otoczeniu:
— „Ach! czemuż, czemuż w tem niemem stworzeniu
Więcej znalazłem serca i wdzięczności,
Niżeli w tobie — niewierna ludzkości?!...
Przybytki moje opuściłem w Niebie,
Bóstwa się mego zaparłem dla ciebie,
Przyjąłem postać ludzką, żyję z wami;
Czemuż nie chcecie być mymi uczniami?!...
Czemuż na puszczę uchodzić zmuszonym
Stwórca przed człekiem, przez siebie stworzonym?!
Czemuż ten rodzaj grzechami skażony
Przez Pana swego nie chce być zbawiony?!..
Czemuż mnie łatwiej poznają zwierzęta,
Niźli ta ludzkość — ślepotą dotknięta?!..
Ludu mój, ludu! com ja ci uczynił?...
W czemże zawinił?...

Jacek Obrochta.

Pisanki.

Zapewne niejednemu z was przyszło na myśl pytanie, od jak dawna też istnieje zwyczaj ubarwiania jaj, zwanych pisankami?

Na pytanie to niestety i ja nie umiem odpowiedzieć i z pewnością nikt tego nie potrafi. To nam tylko wiadomo, że zwyczaj ten sięga już bardzo dawnych czasów, bo już Bł. Wincenty Kadłubek, który żył za Kazimierza Sprawiedliwego, panującego w Polsce od 1177—1194 r., wspomina o jajach malowanych, któremi się w czasie wielkanocnym bawiono po chatach wieśniaczych i po dworach pańskich.

W niektórych okolicach opowiadają o pisankach różne piękne legendy, z których niektóre tutaj podajemy.

Według tych opowiadań, Marya Magdalena przyszła rano w niedzielę do grobu Pana Jezusa. Tam spotkał ją Anioł i rzekł:

— „Nie płacz, Maryo, Chrystus zmartwychwstał!"

Uradowana Marya Magdalena powróciła do domu i o dziwo! — wszystkie jajka, które pozostawiła w swej izdebce, zastała umalowane na czerwono. Szczęśliwa i wesoła wyszła przed dom, gdzie spotkała Apostołów.

Opowiadając im o cudzie owym, rozdzieliła pomiędzy nich owe ubarwione pisanki na pamiątkę tej radosnej chwili.

Od tego czasu, według tej legendy, dziewczęta ubarwiają ozdobnie jajka i rozdają je innym osobom.

* * *

Inna legenda powiada, że gdy Pana Jezusa prowadzono na Golgotę, na straszną śmierć krzyżową, szedł drogą jakiś ubogi człowiek z koszem jaj na plecach. Ulitował się biedak nad Zbawicielem, bo biedny najprędzej niedolę bliźniego odczuć potrafi; zdjął kosz, postawił go na ziemi, a sam począł pomagać nieść krzyż Chrystusowi. Kiedy zaś powrócił do swego koszyka, ujrzał, że wszystkie jajka zamieniły się w śliczne pisanki.

Ujrzał biedaczysko cud Boży i poznał, że w ten sposób Pan Bóg nagrodził jego litość i dobroć. Pisanek jednak owych biedaczyna nie użył już więcej na swoją korzyść, ale rozdał je pomiędzy jeszcze biedniejszych.

* * *

Inny jeszcze początek pisanek podają w niektórych okolicach. Powiadają; że gdy Pan Jezus szedł na górę kalwaryjską, stąpając po ostrych kamieniach, ranił sobie boleśnie nogi, tak, że krew z nich spływała. Jeden z uczniów Chrystusowych, chcąc zachować kilka tych kamyków, zroszonych Przenajświętszą Krwią Zbawiciela, zbierał je i znosił do domu. W chwili jednak, gdy Pan Jezus z grobu zmartwychwstał, zobaczył ze zdziwieniem, że kamyki owe przemieniły się w śliczne pisanki. Miejsca, gdzie była krew Pana Jezusa, przybrały wygląd szkarłatu, inne zaś pozostały białe, jak śnieg. Wzruszony i uradowany tym cudem rozdał owe pisanki powstałe z kamyków wśród biednych mieszkańców.

Są to tylko legendy, ale ileż one uroku i pouczenia w sobie mieszczą.

Antoni St. Bassara.

Wzrok ofiary.

XVI. Człowiek w wielkim kapeluszu.

Odnalezienie obrazu u handlarki Colar musiało oczywiście nadać sprawie nowy zwrot, zupełnie niespodziewany. Aresztowanie Karola Pradesa wprowadziło śledztwo na nowe tory. Przyprowadzono go przed Ginoryego po dłuższem przesłuchaniu przez komisarza policyi.



Bernadet, ogolony i wyświeżony przybył także do gmachu sądowego na umyślne zaproszenie sędziego śledczego. Ubrany w czysty, odprasowany, długi surdut, wyglądał raczej na duchownego, który uczestniczy w niezwykłej uroczystości.

Przeciwnie Prades. Po kilku godzinach, które spędził w więzieniu policyjnem bezsennie, miotany obawą, był chorobliwie blady, zmęczony, a wyrazem twarzy trwożnym, niespokojnym przypominał ptaka nocnego, którego wypędzono na światło dzienne.

Zapytany przez sędziego śledczego, powtórzył to samo, co zeznał przed urzędnikiem policyjnym. Ale głos jego, brzmiący wczoraj złością i pewnością siebie, był dzisiaj zachrypły i bezdźwięczny, oblicze posępne i zniechęcone.

Sędzia śledczy rozkazał także sprowadzić na świadka panią Colar, handlarkę starzyzny. Zobaczywszy Pradesa, poznała w nim natychmiast i bez wahania człowieka, który sprzedał jej ów mały obrazek. Prades zaprzeczył. Udawał, że zupełnie nie rozumie, o co się rozchodzi. Twierdził, że nie widział nigdy tej kobiety. Twierdził, że nie wie nic o tym obrazku.

Oświadczył, że nie znał konsula, że nie był nigdy w Ameryce południowej i jeszcze raz stwierdził z całą stanowczością, że przybywa z Australii.

Pierwsze przesłuchanie Pradesa nie przyniosło zresztą rozstrzygających wyników. To jedno nie ulegało wątpliwości: skoro Prades sprzedał obraz, w takim razie był współwinnym, a może nawet i sprawcą morderstwa. Należało obu oskarżonych postawić naprzeciwko siebie.

— A dlaczegożby zaraz nie uczynić tego — zastanawiał się sędzia — zanim jeszcze Prades, podobnie jak dawniej Dantin, zostanie odprowadzony do więzienia?

Sędzia wymówił głośno wyraz „więzienie" i zauważył nagle, że na twarzy oskarżonego odmalowało się w tej chwili przerażenie, twarz jego skrzywiła się i zbladła.

Prades wyszeptał:

— A więc chcesz mnie pan zatrzymać... nie będę wypuszczony na wolność?

Ginory nie odpowiedział, lecz wydał rozkaz, aby strzeżono Pradesa, dopóki dwaj żołnierze nie sprowadzą Dantina z więzienia.

Jakób Dantin, zamknięty w ponurych ścianach celi więziennej, zaczął popadać w chorobę i osłabienie. Utracił już dawną wyniosłość postaci, przygarbił się, samotność odebrała błysk jego oczom, złamała jego ciało. Ale mimo to, gdy strażnik zawołał go, wyprostował się.

Z podniesioną głową, pewnym krokiem przeszedł przez długi, pusty korytarz, przerywany tylko drzwiami cel więziennych; kroki jego brzmiały głucho na kamiennej posadzce.

Kiedy przybył do gmachu sądowego, poznał natychmiast schody, po których już raz szedł na górę i korytarz, prowadzący do pokoju sędziego śledczego. Nareszcie wszedł do małej, ciasnej sali, gdzie Ginory czekał na niego i powitał urzędników chłodnym, ale uprzejmym ukłonem.

Potem rozejrzał się dookoła i ze zdumieniem zauważył, że między dwoma żołnierzami stoi jakiś człowiek, którego nie znał wcale. Ginory przyglądał się badawczo jednemu i drugiemu.

— Jeżeli Dantin miał choćby najmniejszą styczność z Pradesem — myślał sędzia — w takim razie umie doskonale udawać.



Istotnie wprawne oko sędziego śledczego nie mogło dostrzedz ani żadnego znaku, ani drżenia, ani niezwykłego, zdumionego wyrazu twarzy, któreby mogły dowodzić, że więzień widział kiedykolwiek tego człowieka. A Prades także patrzył na Dantina zaciekawionem spojrzeniem, nie rozumiejącem, co to wszystko znaczy.

Ginory kazał Dantinowi usiąść z twarzą zwróconą ku światłu i wskazując na stojącego przed nim Pradesa, zapytał pozornie ze spokojem:

— Czy poznajesz pan tego człowieka?

Dantin jeszcze raz przyjrzał się uważnie, zastanowił się i odparł po kilku minutach:

— Nie, nie widziałem go nigdy!

— Nigdy?

— Nie znam go zupełnie.

— A pan — pytał sędzia, zwracając się teraz ku Pradesowi — czy widziałeś pan kiedy Jakóba Dantina?

— Nigdy — odrzekł także Prades.

Jego zachrypły głos tworzył silny kontrast w porównaniu z krótkiemi, jasnemi odpowiedziami Dantina.

— A przecież — ciągnął dalej sędzia — właśnie jego portret sprzedałeś pan handlarce starzyzny pani Colar!

— Portret?

— Przypatrz się pan Dantinowi; przypatrz mu się pan uważnie — powtórzył Ginory. — Czy poznajesz pan?

— Tak — odparł Prades. Oczy jego szeroko rozwarte, były ciągle utkwione w więźniu.

— Aha — rzekł sędzia z zadowoleniem.

Po tem krótkiem „aha" nastąpiło natychmiast nowe pytanie:

— A jakże możesz pan tak szybko rozpoznać tego człowieka, skoro, jak twierdzisz, obrazek przed chwilą dopiero zobaczyłeś w moim pokoju i nie widziałeś go nigdy przedtem.

— Nie wiem — odpowiedział Prades, który nie pojmował doniosłości tego zapytania, postawionego głosem uprzejmym, niemal serdecznym.

— Więc spróbuję to panu wyjaśnić — ciągnął dalej Ginory, coraz grzeczniej. — Niewątpliwie poznajesz pan te rysy, ponieważ przyglądałeś się dawniej obrazowi nieco dłużej, ponieważ trzymałeś go w rękach przez dłuższy czas, przekręcałeś go w tę i tamtą stronę, aby na przykład, na przykład... oderwać ramy.

— Ramy, jakie ramy? — pytał młody człowiek z przestrachem.

A Ginory mówił dalej:

— Ramy, które oderwałeś pan siłą, jak dowodzą tego znaki i rysy na obrazie. A skoro i te ramy odnaleziemy u jakiejś innej handlarki, podobnie jak znaleźliśmy obraz u pani Colar, co zresztą nie będzie tak trudnem — sędzia śledczy zwrócił się ku Bernadetowi z wesołym uśmiechem na ustach — jeżeli wtedy do zeznań pani Colar przyłączą się inne zeznania... tak, tak... cóż pan wówczas uczynisz?

Nastała chwila milczenia. Prades odwrócił głowę, zakłopotany i przerażony, jak gdyby szukał jakiegoś wykrętu czy ochrony, jak gdyby się dusił lub topił. A spojrzenie Jakóba Dantina przeszywało go groźniej i bardziej badawczo, niż wzrok sędziego.

Nareszcie Prades wyjąkał kilka słów: Czego właściwie chcą odemnie? O jakich ramach mówił sędzia śledczy? Co to za ramy? Co to wszystko znaczy i do czego zmierza? A potem, gdzież jest ten drugi świadek, ta handlarka, o której pan Ginory mówił, gdzie są te „nowe zeznania" drugiego świadka?

— Gdzie jest ten świadek? — odpowiedział sędzia. — O, bardzo blisko, zaraz przy następnem przesłuchaniu każę go przywołać.

— Wystarczy już ta jedna handlarka — krzyknął Prades i dzikim wejrzeniem przywitał panią Colar, która na znak sędziego weszła do sali blada i znowu zatrwożona wszystkiem, co się działo.

A Prades, patrząc na nią, dodał grożącym głosem:

— Nawet ta jedna za wiele!

Palce jego prawej ręki zagięły się, jak gdyby około rękojeści noża. Począwszy od tej chwili Bernadet, śledzący każdy najdrobniejszy ruch tego człowieka, nie wątpił już, że stoi przed nim morderca Rowera. Oczyma duszy widział tę rękę, uzbrojoną nożem — tym samym nożem, który przy rewizyi znaleziono w kieszeni Pradesa — widział, jak ręka ta spada na ofiarę i przecina gardło.

Ale jakże w takim razie wytłómaczyć?... Dantin?... Bez wątpienia był współwinnym, głową, obmyślającą czyn, który wykonał ten człowiek jako narzędzie. Bo przecież w oku ofiary odbił się jego obraz; odkryta tam twarz Dantina była jasnym dowodem jego winy, była niejako oskarżeniem, które wnosił umierający, wydając ostatnie tchnienie. Jakób Dantin był odmalowany w tym oku. Oko ofiary oskarżało, oko ofiary mówiło.

Tymczasem Ginory rzekł do swego pisarza tylko jedno słowo:

— Papier!

Potem, kiedy już pisarz wziął do ręki drukowaną kartę papieru, rozpoczął sędzia formalne przesłuchanie. A w miarę powolnych słów pana Ginory, pisarz wypełniał wolne rubryki dokumentu, który wolnego człowieka zamieniał w więźnia.

— Nazywasz się pan? — pytał Ginory.

— Prades.

— Imię?

— Henryk.

— W śledztwie policyjnem powiedziałeś pan Karol.

— Henryk Karol albo Karol Henryk, jak pan wolisz.

Pisarz siedział przy stole i pisał szybko, aczkolwiek sędzia śledczy ani nie dawał mu żadnego znaku.

— Pański zawód?

— Ajent handlowy.

— Wiek?

— Dwadzieścia ośm lat.

— Miejsce stałego pobytu?

— Sydnej, Australia.

Odpowiedzi Pradesa wypełniały powoli wolne miejsca urzędowego druku.

Nakaz aresztowania.

My, Edmund Jerzy Ginory, sędzia śledczy, rozkazujemy wszystkim funkcyonaryuszom sądowym i organom publicznego bezpieczeństwa, stosownie do brzmienia ustawy, zatrzymać w więzieniu: Pradesa (Karola Henryka), liczącego lat 28, ajenta handlowego z Sydneju, jako obwinionego o współudział w zamordowaniu Piotra Ludwika Rowera. Polecamy dyrektorowi wspomnianego więzienia, aby czuwał nad aresztowanym i zatrzymał go aż do dalszego rozporządzenia.

Wzywamy każdego funkcyonaryusza bezpieczeństwa publicznego, aby wedle sił popierał wykonanie tego nakazu, gdyby tego okoliczności wymagały, i opatrujemy to rozporządzenie naszym podpisem i odbiciem naszej pieczęci.

Paryż 12 lutego 1896 roku.

I pod pieczęcią, którą pisarz wycisnął na dokumencie, Ginory podpisał swoje nazwisko.

Prades stał dotąd zupełnie ogłupiały, oszołomiony, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje dokoła niego. Teraz dopiero wyprostował się nagle, jak gdyby dotknięty złem przeczuciem:

— Jakto? Aresztowany!? Pan mnie aresztuje?



Równocześnie pochylił się ku stołowi, przy którym stał spokojnie Ginory. Pochylił się rozszalały, a jego ręce byłyby pochwyciły i objęły śmiertelnym uściskiem krótki, zaczerwieniony kark sędziego, gdyby żołnierze nie byli go szybko pochwycili.

Ale odciągnięto go i przytrzymano, sędzia śledczy zaś mówił łagodnie i z uśmiechem, stukając piórem w stół pisarza:

— Każdy złoczyńca nie zawsze umie zapanować nad sobą i pozwala się czasem porwać wściekłości. To się zdarza. Odprowadźcie tego człowieka.

Kiedy wyprowadzano go z pokoju, a raczej wypychano, Prades odwrócił się do obecnych i zakrzyknął zachrypłym głosem:

— Zobaczymy się jeszcze!

Ginory rozkazał teraz, aby go pozostawiono sam na sam z Dantinem.

— Sam na sam — powtórzył z naciskiem i zwrócił się do Bernadeta, którego spojrzenie zdradzało pewien niepokój.

Pisarz wstał, złożył papiery i schował je do zniszczonej teki.

— Nie, pan niech zostanie!

— A zatem — rzekł sędzia prawie przyjaznym głosem, kiedy pozostał sam z Dantinem w tym samym pokoju, w którym niedawno podpisał nakaz aresztowania go.

— A zatem — powtórzył — czy rozmyśliłeś się pan nareszcie?

Jakób Dantin stał wyprostowany z zaciśniętemi ustami, nie mówiąc ani słowa.

— Tak — odpowiedział Dantin spokojnie. — Odkąd tu jestem, nie spałem wcale, nie spałem ani godziny. Bezsenność zabija mnie. Chwilami wydaje mi się, że oszaleję.

— A więc? — pytał Ginory.

— Więc... dobrze... przekonałem się, że nie mogę dochować przyrzeczenia, jakie dałem sam sobie, iż nie zdradzę tej tajemnicy... Męczę się... i wyznam wszystko... ale tylko panu... tylko panu...

— Mnie samemu?

— Tak jest — odparł Dantin, patrząc na sędziego pokornem, błagającem spojrzeniem.

Pisarz podniósł się z krzesła na znak dany przez sędziego i wyszedł z pokoju.

— Więc — rzekł sędzia śledczy do siedzącego naprzeciw niego Dantina — możesz pan teraz mówić.

Obwiniony wahał się jeszcze.

— Panie sędzio — rzekł wreszcie — czy wszystko to, co powiem panu tutaj, muszę potem powtórzyć tam w sali rozpraw, przed sędziami przysięgłymi, a może i przed licznie zebranymi ludźmi?

— Hm, tego wiedzieć nie można, to zależy — odparł Ginory. — Ale bez względu na to, powinieneś pan powiedzieć wszystko, aby sprawiedliwości stało się zadość. Wzywam pana, abyś mówił. Sędziemu śledczemu można powiedzieć wszystko. Pokój ten słyszał już niejedną spowiedź, która nie wyszła poza jego mury, podobnie jak tajemnica konfesyonału.

Chociaż sędzia posądzał Dantina o kłamstwo, chociaż ten system znany mu z długoletniego urzędowania, pobudzał go raczej do śmiechu, to jednak mogłoby to być możliwem, że i ten człowiek, który dotąd osłaniał się tajemniczem złowrogiem milczeniem, mógłby przecież być szczerym i mówić prawdę.

Już sam sposób, w jaki Jakób Dantin podjął tym razem sprawę, stanowczy ton, jakim przemawiał, nie przypominały niczem jego dawniejszego zachowania się, jego dumy i lekceważenia. Rozmysł, więzienie, odstraszająca, duszna cela aresztancka wywarły swój wpływ. Ten sam człowiek, który tak niedawno tak stanowczo upierał się przy tem, że nie powie ani słowa, chciał teraz wszystko wyznać.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

A przecie to nima sprawiedliwości na tym świecie. Bidnemu, a jesce takiemu Maćkowi, jak ja, to zawse wiater wieje w ślipie.

W wielką sobotę posedem wiecór do kościoła, bo mnie gospodyni wygnali, ale do teraz załuję, zem posed. Coprawda to tak tam pachniało od różnych ślicności, jak spyrka, kiełbasa i za przeproszeniem jaja, ale cóż z pachnienia, kiedy se człek nie poje. Co innego gospodarz gruntowy, to jemu wsyćko wolno. Oni, ci gospodarze to nawet do kościoła przyśli pojedzeni, bo na cały głos się darli, że się jem żywot naprawił.

Taka mnie złość rozebrała, zem nie mógł dłużej wytrzymać i posedem do chałupy. Przypomniało mi się, ze gospodarz cytali w gazycie, ze kto nipise wirs do ni na święta, to dostanie książkę.

Cekajcie, myślę se, jak ja wom wyrypie wirs, to wy nie będziecie się ze mną draźnili. Ja tam powiem o wszyćkiem, o powiem! Ale cekojcie gospodyni, jak wom teroz nas gospodarz nie spierą skury, tom ja nie Maciek. Ja tam powiem, jak wyście gospodarzowi dawali na śniodanie jałowy boszcz, a jak gospodarz gdzie pośli, toście se jajeśnickę smazyli. A mnie bidnemu Maćkowi to i tej jałowej strawyście załowali. Myślicie, ze ja pisać nie umię, to se rady nie dom? Ehe! ja se wszyćko w głowie ukalkuluję a przyjdą gospodarz, to jem powiem, i oni to do gazety napisą. A jak gazyta przyjdzie, a przecytają, to wom niechybnie dudy spierą. A jak dostanę książkę, to ja się z ni dowiem, co to robić na taką bidę, jak moja.

Jak człek chce to wszyćko moze. Posedem se i ja do stajni, siodem około tej kobyły, co to juz ze śtyry lata źrybno i zacąłem myśleć nad wirsem. Myślołem ze dwie godziny i juz umyśliłem śtyry słowa: dwa z pocątku a dwa z końca, ale mnie gospodyni odwołali:

— Maciek choć zryć!

Jakże tu nie pójść, kiedy jedzenie waźniejse, jak jakiesik tam wirse, więc i jo posed.

Inom wsed gospodarz do mnie:

— A coś ty tam Maciek robił?

— Com robił? Wirse do gazyty, zeby mi gazyciorze dali jaką ksiązkę.

— Idź, głupi Maciek, ksiązki wzięli już mądrzejsi, a ty chlaj i idź spać.

I nie prowda to ze człekowi bidnemu zawse wiatr w ślipie?

Ja teroz do was, panie gazyciarzu, zanose pokorne błaganie: juz mi za to gadanie korony nie posyłajcie, ale przyślijcie gospodorzowi na gospodynię porządny harap, zeby się jem juz roz zywot naprawił i o mnie więcy dbali.

KRONIKA.

OD REDAKCYI.

Wszystkim tym, kochanym Czytelnikom, którzy nam przesłali życzenia „Wesołych Świąt“ składamy na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie. Otrzymaliśmy tak wielką ilość listów z życzeniami i z słowami uznania za naszą pracę, że nie sposób każdemu z osobna odpowiadać.

Redakcya „Roli“.

Krwawa bójka w Sejmie. Według ustawodawstwa węgierskiego nie wolno Sejmu rozwiązać, dopóki budżet na rok przyszły nie zostanie uchwalony. Wobec jednak niezgody jaka panowała wśród posłów węgierskich, trudno było dojść tam do porozumienia i rozpocząć obrady nad budżetem. Prezydent ministrów Khuen-Hedervary, widząc, że do porozumienia przyjść nie może, postanowił Sejm rozwiązać i rozpisać nowe wybory.

Na ostatniem posiedzeniu w ubiegłym tygodniu zabrał głos prezydent ministrów, a odpierając zarzuty, jakoby nie miał prawa rozwiązywać Sejmu, gdyż budżet jeszcze nie uchwalony, odpowiedział, że ustawa wyraźnie mówi, iż chodzi tu o budżet na rok przyszły, a nie na obecny.



Odezwanie się to prezydenta ministrów oburzyło nadzwyczaj niektórych posłów. Powstała wrzawa i wyzwiska, a za nimi poczęły latać w powietrzu książki, kałamarze i t. p. rzeczy rzucane przez oburzonych.

Pierwszy uderzony został minister rolnictwa Serenyi, na którego rzucono grubą księgę, ostro oprawioną; końce oprawy uderzyły w twarz i czoło ministra, który z krzykiem padł w objęcia stojących obok niego posłów. Twarz ministra była zalaną krwią. Przy pomocy innych ministrów Serenyi opuścił salę i udał się do swego pokoju, gdzie go natychmiast opatrzył lekarz.

W sali posiedzeń panowała tymczasem wrzawa dalej; rzucano kałamarzami zupełnie na ślepo; wielu posłów miało twarze i ubrania zlane atramentem. — Jeden z rzuconych kałamarzy uderzył prezydenta ministrów w twarz i zadał mu dwie rany, jedną na czole drugą na twarzy. Wyprowadzono go z sali i zatelefonowano po lekarzy, którzy opatrzyli natychmiast ministrów i posłów.

Tymczasem w sali posiedzeń przyszło do bójek między poszczególnymi posłami różnych stronnictw. Jak stwierdzono, także minister honwedów został znieważony.

Prezydent przerwał wreszcie posiedzenie, lecz posłowie nie opuścili mimoto sal i bójki trwały dalej.

Po otwarciu posiedzenia na nowo, prezydent wyraził oburzenie z powodu tych zajść.

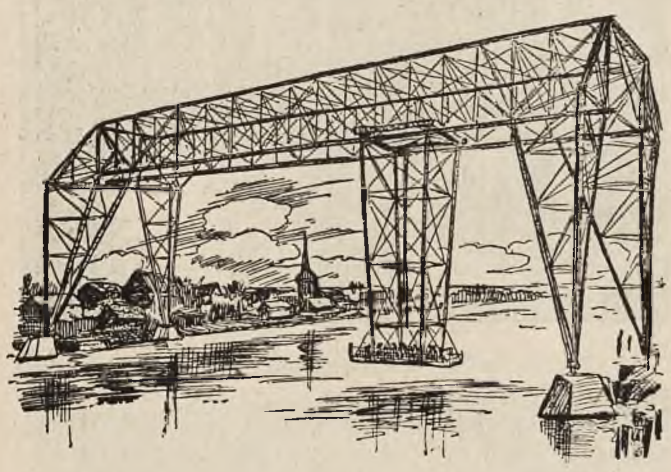
Tymczasem na sali pojawili się z powrotem poranieni ministrowie z obandażowanemi głowami. Wrzawa i wzburzenie panowały do końca posiedzenia.

Zrozumiałą jest rzeczą, że oburzyć się może każdy, mniejsza z tem czy słusznie czy nie, ale rozbijanie się i kaleczenie drugich, to nawet pijakom w karczmie hańbę i wstyd przynosi, a nie dopiero posłom, wybrańcom narodu.

Wesoły początek, ale smutny koniec. Jak donoszą gazety codzienne, Franciszek Rychel, włościanin z Krempia Zaleszańskiego, znany we wsi całej pijak i awanturnik, odprowadziwszy, jadącą do Prus, córkę swą na stacyę do Zbydniowa, wstąpił z powrotem do szynku i jak zwykle, upił się; przechodząc zaś następnie drogą przez tor kolejowy, zawadził widocznie nogą o szyny i upadł na nie, nie mogąc już o własnych siłach powstać wskutek upicia się. W tej chwili nadjechał pociąg, miażdżąc mu głowę i odcinając rękę.

Drugi podobny wypadek zdarzył się o parę dni później w tem samem miejscu, którego ofiarą padł drugi pijak, leśny, Jan Radomski z Zabrnia Grabowskiego. Ten, wracając w stanie podpitym z Krempia Zeleszańskiego, szedł torem kolejowym. Wódeczka zamąciła mu głowę, nie słyszał wiec nadjeżdżającego pociągu, wskutek czego, dostawszy się pod jego koła, został rozszarpany. Początek był wesoły, ale smutny koniec.

Przewóz w powietrzu. Na rzece Odrze w Niemczech zbudowano niezwykły prom. Zwykłym galarem przejeżdżać było trudno, gdyż rzeka w tem miejscu jest wartka i pełna wirów. Most kosztowałby bardzo wiele, gdyż grunt jest grząski na dnie rzeki.



Zbudowano zatem coś, co jest i mostem i promem. Prom ten przebywa przez rzekę w powietrzu. Zbudowano mianowicie ogromne rusztowanie żelazne, a pod niem zawieszony na linach i kółkach galar posuwa się z jednego na drugi brzeg, nie dotykając wody. Na brzegach urządzono takie przystanie, że galar przybija wprost i wozy z końmi z łatwością mogą nań wjeżdżać bez straty czasu.

Dobrze wytłumaczył. Pewien robotnik w Anglii, wieczór spędził w karczmie, a obudziwszy się rano, począł opowiadać żonie, co mu się śniło. Widziałem — mówi — jak cztery szczury, jeden po drugim do mnie się zbliżały. Pierwszy był gruby i tłusty, dwa były chude, a czwarty ślepy. Straszno mi to jakoś, bo słyszałem, że szczury oznaczają nieszczęście. — Żona nie umiała tego snu wytłumaczyć, wytłumaczył mu go jednak jego synek, sześcioletnie chłopię, w następujący sposób: Wielki tłusty szczur — to szynkarz na rogu, któremu, ojcze, wszystkie zarobione zanosisz pieniądze; te dwa chude — to matka i ja, a ten ślepy — to ty jesteś ojcze!

Nowe obostrzenia dla wyjeżdżających do Ameryki. Jak się dowiadujemy, władze amerykańskie wprowadziły nowe obostrzenia dla przybywających robotników do Ameryki, według których każdy, kto tam przyjedzie, musi wykazać się przy wysiadaniu z okrętu kwotą 25 dolarów czyli 125 koron, gdyż inaczej nie wpuszczą go do Ameryki. Należy więc ostrzegać udających się za zarobkiem za morze, aby nie doznali zawodu.

Namiętność powodem śmierci. Bieda, gdy człowiek, który powinien mieć rozum nie może, czy nie chce, pochamować swych namiętności. Prowadzi go to prawie zawsze do smutnego końca. Taka niepochamowana namiętność przyprawiła w Pawłosiowie pod Jarosławiem 26-letniego Jana Knapika o śmierć a doprowadziła 40-letniego Jakóba Fudalę do zabójstwa. Rzecz miała się tak: Knapik, od siedmiu lat żył „na wiarę“ ze starszą o wiele od siebie żoną Jakóba Fudali i zamieszkał w jego domu. Fudala zalotnikowi żony musiał miejsca ustąpić i przenieść się do drugiej izby swego domu, w którym Knapik się rozgospodarował. Knapik ciągle się odgrażał, iż męża kochanki życia pozbawi i w ten sposób sobie drogę do jej zaślubienia utoruje. W ustawicznej niepewności jutra pędził żywot Fudala, ustępując z drogi Knapikowi. Aż oto przyszło onegdaj do smutnego zakończenia tego stanu. Wracający z Fudalową z kościoła Knapik, uzbrojony w gruby kij przypadł do idącego drogą Fudali, aby mu, jak się wyraził, koniec zrobić. Wówczas Fudala wyjął z kieszeni nabity rewolwer i czterema wystrzałami Knapika trupem położył, poczem udał się do wójta, który go odstawił do sądu w Jarosławiu. Zrozpaczony, a nieszczęśliwy człowiek będzie musiał za czyn swój, popełniony w uniesieniu odpowiadać przed sądem.

Zamordowanie szynkarza. Jak donoszą z Krystynopola, w karczmie, leżącej na gościńcu prowadzącym z Krystynopola do Mostów wielkich dokonano przed kilku dniami skrytobójczego morderstwa rabunkowego. Do karczmy tej, własności żyda Salomona Samita, zapukał ktoś w nocy — ten nie przeczuwając nic złego, otworzył drzwi i wpuścił nieznajomego, który zażądał tytoniu, mówiąc, że zapłaci zań nazajutrz. Otrzymawszy tytoń, zażądał jeszcze wódki. Ale karczmarz odpowiedział, że nie ma wódki. Wówczas nieznajomy w oczach przerażonego szynkarza zamknął drzwi, pozasłaniał z wewnątrz okna, a wydobywszy rewolwer, trzema zeń strzałami położył trupem szynkarza. Na odgłos strzałów wypadł z alkierza wnuk zabitego, do którego morderca strzelił również, trafił go tak, że chłopak padł na ziemię. Sądząc, że i chłopak też zabity, zbrodniarz zaczął rabować. Ale w kasie nie było więcej oprócz 10 kor., więc zabrał je, a oprócz tego kilka jeszcze drobiazgów, poczem uciekł. Wówczas wnuk zamordowanego szynkarza, który był tylko lekko raniony, zawiadomił sąsiadów o zbrodni, ci znów zawiadomili żandarmeryę. Wedle opisu chłopca zbrodniarz był młodym mężczyzną, średniego wzrostu, ubranym w popielatą kurtkę i zielony kapelusz. Djabeł najpierw zdurzy człowieka, aby go pchnąć do zbrodni, a potem czeka tylko kiedy duszę jego zabrać mu przyjdzie na wieczne cierpienie.

Fatalna omyłka. W pewnej drukarni w Saksonii zamówiono wstęgę do wieńca żałobnego z napisem: „Spoczywaj w pokoju! Do widzenia!“ Niedługo potem nadesłał zamawiający następny telegram: „Po „do widzenia“ dodać „w niebie“, jeżeli będzie jeszcze miejsce? Gdy zamawiający obejrzał potem przysłaną mu wstęgę, spostrzegł ku niemałemu zdumieniu wielkiemi złotemi literami drukowany napis: „Spoczywaj w pokoju! Do widzenia w niebie, jeżeli będzie jeszcze miejsce!“

Skarb w trumnie. Niedawno temu popełniono w Wielkim Waradynie, na Węgrzech, znaczną kradzież z włamaniem, a mianowicie skradziono złotnikowi Polaczkowi wielką liczbę różnych kosztowności, których cena dochodziła do 100.000 koron. Pomimo że złoczyńca wpadł na doskonały pomysł ukrycia ich, policya zdołała tak zbrodniarza, jak i skarby odszukać. Był nim niejaki Emeryk Gal, znany rzezimieszek.



Kosztowności skradzione wynosił na cmentarz i tam je ukrywał w trumnie, w grobowcu, w której spoczywające zwłoki już dawno w proch się przemieniły. Policya znalazła tam wszystkie kosztowności skradzione u Polaczka, a oprócz tego i wiele innych cennych rzeczy.

Już był koniec świata na Węgrzech. A rzecz miała się jak następuje: W pewnej, zapadłej wiosce na Węgrzech, w okolicy niższej Cisy, zamieszkałej przez ludność zabobonną, wydarzyły się przed kilku dniami straszliwe, ale i śmieszne zarazem sceny.

Już od kilku tygodni żyli spokojni mieszkańcy tej wioski w oczekiwaniu zderzenia się ziemi z kometą, który ma być widziany na niebie z końcem kwietnia i w maju, w nieustannej trwodze, mocno przekonani, że wypadek ten w bliskiej przyszłości spowodować musi rozbicie się naszej mizernej powłoki ziemskiej. Otóż tedy, kiedy w pewnej ciemnej nocy skutkiem wielkiego pożaru w sąsiedniej wsi nagle straszliwa łuna zajaśniała na widnokręgu, przerażony nią zabobonny stróż nocny; sądząc, że straszliwa kometa już się zbliża, nie tylko złowrogo zawarczał na swej trąbie na znak trwogi, ale nadto zbudził całą wieś okrzykiem: „Koniec świata nadchodzi!“

Przerażeni mieszkańcy powyskakiwali ze swych łóżek i domów, aby przynajmniej pod gołem niebem i w gronie żyjących pożegnać się na zawsze z tym mizernym światem. Mężowie krzyczeli rozpaczliwie, kobiety płakały, a dzieci na różne głosy zawodziły przeraźliwie. Nie tracił przytomności tylko stary proboszcz miejscowy, który napominał i pocieszał zrozpaczonych, ale wszystko napróżno.

Przerażeni mieszkańcy postanowili z rozpaczy wyzyskać tych parę dodzin możliwie najlepiej. I oto powynoszono z domów wszelakie zapasy żywności i napojów, pozapalano tuż przy kościele liczne ognie i w trakcie modłów, gorliwie zanoszonych do niebios, zjadano skwapliwie zapasy i pito na zabój z otwartych na oścież naczyń wino i co Bóg dał, aby nie pozostawić na pastwę zniszczenia!

Nie myślano nawet w chłodnej nocy o zaopatrzeniu się w odzież, ale ostatecznie w szale rozpaczy, podsycanej nadmiarem trunków, wśród śpiewu i okrzyków, przepędzono resztę nocy. Nie było niebawem ani jednego człowieka trzeźwego. Tańczono i krzyczano na zabój, aż bezsilni i oszołomieni, popadali zrozpaczeni Węgrzy bez przytomności i przespali urojone nieszczęście. Nareszcie poprzebudzeni jasnością wschodzącego słońca, nie mogli wyjść z podziwu, że żyją i że koniec świata nie nastąpił.

Oburzenie na stróża nastąpiło okropne, bo koniec świata nie nadszedł, a oni wszystko co najlepsze, naraz pozjadali. Ot, głupota ludzka!

Sześć osób zginęło w płomieniach. W pewnej wiosce pod Raciborzem na pograniczu śląsko-austryackiem, pożar ogarnął dom mieszkalny gospodarza Kupcia. Ten wraz z rodziną zabrał się do ratowania sprzętów domowych, gdy nagle dom runął i pogrzebał całą rodzinę, ojca, matkę i czworo dzieci. Po ugaszeniu pożaru znaleziono pod gruzami sześć ofiar zupełnie zwęglonych.

Ile człowiek w ciągu lat 70 życia zjeść potrafi, obliczył niedawno temu pewien Anglik. Oczywiście mowa tu o człowieku zdrowym, odżywiającym się normalnie mięsem, jarzynami i nabiałem, z dodatkiem niezbędnego napoju. W cyfrach przedstawia się to jak następuje: W ciągu 70-ciu lat życia zje człowiak normalny 18.000 kgr. mięsa, t. j.: 102 wieprzy, 68 owiec, 68 cieląt, 170 wołów i 240 sztuk drobiu; chleba i mącznych potraw 22.000 kgr.; ilość wszelkich jarzyn wynosiłaby 40.000 kgr.; jaja obliczono na 400 tuzinów. Dla spłukania tego wszystkiego wypije człowiek 500 hektolitrów napojów. Jeżeli obliczy się to na wartość pieniężną, to otrzymamy pokaźną sumę 35.000 koron, które przeciętny, zdrowy człowiek przepuści w ciągu życia przez swój żołądek.

Zdaniem naszem tyle może zje Anglik, bo w Anglii lud jest zamożny, który na mięso codziennie pozwolić sobie może. U nas obliczenie takie wypadłoby zapewne inaczej.

Miasto rządzone przez dzieci. Amerykanie wymyślają różne dziwy i próby, jakich nigdzie nie bywa. Teraz znowu opowiadają dzienniki amerykańskie, że pod Bostonem powstało miasto, złożone z samych dzieci, które się same rządzą. Jeden z bogatych obywateli miasta zakupił trzysta morgów roli i ogrodu, pobudował wielki dom i osadził tam 30 chłopców, którzy robią, co im się podoba. Osadę tę nazwał „republiką“. Rządzi nią prezydent, wybrany przez „lud“, oprócz niego jest sędzia, dyrektor policyi i kilku niższych urzędników. „Konstytucyę“ sami sobie chłopcy ułożyli, tak samo prawo karne. Prezydent pobiera pensyę 1 dolara tygodniowo, sędzia 76 centów, inni urzędnicy mniej. Chłopcy chodzą do szkoły, gdzie ich uczy (dorosły) nauczyciel. Jest to jedyne nie dziecko w osadzie, poza lekarzem, który tylko czasem dojeżdża z miasta. Czas spędzony w szkole liczy się do godzin urzędowych.



Obrazek nasz przedstawia widok, jak policyant przyprowadza przed sędziego jakiegoś „obywatela“, który coś zbroił. Sędzia ma wielką szarfę przez piersi, policyant czako na głowie.

Oblężenie obłąkanego. W Solnogrodzie, na górze Kapucyńskiej, stoi od lat wielu gospoda, której właścicielem był Antoni Weitzberg. Ten nietylko gościom lubiał wódeczkę sprzedawać, ale i sam bardzo często nią się zakrapiał. Przed kilku dniami powrócił z jednej z pohulanek nocnych do domu i położył się spać. W nocy zerwał się nagle z łóżka, ujął nabitą strzelbę, a zmierzywszy się do żony, krzyknął: — „Na kolana! Mów twój ostatni pacierz!“ Przestraszona kobieta wykonała rozkaz, sądząc, że ma do czynienia z pijanicą. Gdy ten na chwilę obrócił się, żona umknęła niespostrzeżona do sąsiadów. Nad ranem powróciła do domu w towarzystwie innych ludzi. Gdy ich Weitzberg zobaczył, chwycił za strzelbę i krzycząc: „Na kolana!



Mówcie wasz ostatni pacierz!“ zmierzył się ku nim. — Wystraszeni rozbiegli się na wszystkie strony. — Sprowadzona policya chciała zaaresztować pijaka, lecz ten zamknąwszy się w domu, począł odgrażać się, że każdego zastrzeli, kto odważy się doń zbliżyć. Musiano zarządzić formalne oblężenie i dopiero po długich mozołach zdołano go ująć. W domu znaleziono trzy strzelby nabite. Jak lekarze stwierdzili, Weitzberg dostał pomieszania zmysłów. A mimo tylu odstraszających przykładów ludzie ciagle piją.

Złoto w grobach. W Siebenbrunn, w pobliżu Wiednia odkryto onegdaj dwa bardzo stare groby, z których wykopano liczne, niezmiernie cenne przedmioty z czystego złota i bursztynu.

Ciekawy jest sposób i okoliczności, wśród jakich dokonano tego odkrycia. Dotyczący grunt należy do gminy, która wysłała w to miejsce robotników, dla wykonania jakichś robót polnych. Otóż ci robotnicy przy kopaniu natrafili na starożytne groby. Kopiąc głębiej, spostrzegli szkielety, a przy nich mnóstwo starożytnych zabytków ze złota i bursztynu, jak: pierścieni, naszyjników, bransolet, łańcuchów i innych przedmiotów, których przeznaczenie na razie jeszcze niewiadome. Niektóre przedmioty oznaczone są jakiemiś nieznanymi drogimi kamieniami czerwonej barwy.

Dokonawszy tego odkrycia, robotnicy zaraz porozumieli się pomiędzy sobą i pozbierawszy starannie klejnoty, ukryli je i postanowili, nie mówiąc o tem nikomu ani słowa, spieniężyć skarb, a pieniądze rozdzielić pomiędzy siebie.

Jednak, przez gadulstwo jednego z nich, względnie żony któregoś, rzecz rozniosła się szybko wśród okolicznej ludności robotniczej.

Niebawem o wszystkiem dowiedział się burmistrz i wysłał żandarmów do owych robotników, którzy widząc, że sprawa się nie ukryje, przyznali się do wszystkiego i wskazali miejsce, gdzie skarb schowali.

Jak donoszą z Wiednia, odkryte grobowisko było miejscem wiecznego spoczynku jakiegoś księcia rzymskiego i jego żony.

W grobie znaleziono kościotrupy męski i niewieści, oraz szkielet konia. Wśród złocistych pierścieni i bransolet ozdobionych klejnotami, jest także duży łańcuch, sporządzony bardzo ładnie z kulek bursztynowych.

Prócz wymienionych skarbów, znaleziono kielich szklany i mnóstwo ozdób z różnych metali. Natomiast pieniędzy nie znaleziono wcale. Z jakich czasów owe kosztowności pochodzą, nie stwierdzono jeszcze dokładnie, to tylko pewne, że leżały one w ziemi bardzo długie lata.

Co gorsze? Pustelnikowi pewnemu ukazał się djabeł i groził mu śmiercia, jeżeli nie usłucha go i nie popełni jednego z trzech grzechów; upicia się, morderstwa lub krzywoprzysięstwa. Pustelnik ów był jeszcze młody i niedostatecznie utwierdzony w dobrem. Pomyślał on sobie, że pijaństwo będzie grzechem najłagodniejszym, ono więc wybrał. Wtedy djabeł uradował się bardzo i oddalił się, śmiejąc się szyderczo. Pustelnik ów młody zaś zaczął pić ile tylko mógł, aż wreszcie stracił zupełnie panowanie nad sobą. Gdy mistrz jego z tego powodu go skarcił, rozgniewał się tak bardzo, że go zabił. Gdy zaś stanął przed sądem, oskarżony o morderstwo, w rozpaczy popełnił krzywoprzysięstwo, przysięgając, że nie on zabił mistrza. Wydało się to jednak i za owe zbrodnie skazano go na śmierć. Sami więc czytelnicy osądzą łatwo, jak wielkiem złem jest pijaństwo.

Zwierzęcy czyn Cyganów. Jak donoszą gazety włoskie, banda cyganów wygrzebała na cmentarzu wsi Paina Brianza zwłoki pochowanego w tych dniach dziecka i dała je do pożarcia prowadzonemu na łańcuchu niedźwiedziowi. W pogoń za Cyganami posłano oddział żołnierzy. Wartałoby, aby takich barbarzyńców porządnie ukarano!

Pielgrzymi tureccy. Każdy muzułmanin, uważający Mahometa za proroka, a więc każdy Turek, Arab musi być przynajmniej raz w życiu w Mecce, mieście arabskiem, w którem Mahomet nauczał. Dlatego Mekka jest zawsze przepełniona pielgrzymami muzułmańskimi z trzech części świata: Europy, Azyi i Afryki. W ostatnich latach dojeżdżają już koleją, dawniej przyjeżdżali końmi i wielbłądami lub przychodzili pieszo.



Do obowiązków muzułmanina należy zabrać z Mekki trochę „świętej wody“ ze źródła, z którego według podania pijał Mahomet. Niedawno zdarzyło się, że na stacyi w Mecce było bardzo dużo pielgrzymów, ale nie wszyscy zdołali naczerpać tej „świętej wody“. Tymczasem nadszedł pociąg i zbliżała się pora odjazdu do domu. Ale pielgrzymi rzucili się z rozpaczą na szyny przed maszynę, i zagrozili, że nie ustąpią, póki wszyscy nie zdążą nabrać „świętej wody“. Naczelnik stacyi musiał ustąpić i pociąg wstrzymać.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

(Nadesłał Teodor Konoba z U.).

Pierwsze roślina, drugie litera
Całość instrument: brody podpiera.

2. Zagadka.

(Nadesłał Wojciech Bober z H.).

Cztery nogi ma i pierze,
A nie ptak to i nie zwierze!

3. Krzyż magiczny.

(Nadesłał Zygmunt Bogdański z J.).

Z liter umieszczonych w krzyżu ułożyć po 3 słowa tak w kierunku pionowym, jak i poziomym, których znaczenie takie: 1. Zwierz dziki krajów gorących, 2. Imię żeńskie (14 marca), 3. Narzędzie murarskie.

			1.	2.	3.		
			a	a	a		
			a	a	a		
1.	a	a	a	a	d	d	e
2.	e	i	i	i	i	k	k
3.	l	l	m	m	n	n	p
			p	t	t		
			r	r	y.		

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy oprawną książkę z obrazkami **Teresy Jadwigi** p. t. **„Nad przepaścią“**. Nagrodę wylosować może tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 9 kwietnia b. r. Adres: **Kraków, ulica św. Tomasza l. 32 Redakcya „Roli“.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 12 *Roli:* 1. Szarada: **Pi-san-ki**. 2. Zagadka: **Echo.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Że piki dawniej u nas były używane.
To przecie każdemu bardzo dobrze znane.
Co do drugiego i nie myślę tyle,
Że rzeka San będzie pewnie się nie mylę.
Drugie z trzeciem każdemu z nas jest dobrze znane,
Bo jest przez nas wszystkich mile używane:
Bo kiedy w zimie jest mróz bardzo wielki
A płatki śniegu błyszczą niby te perełki,
Ludzie jeżdżą na sankach jeden lub gromada —
Ot i skończona już cała szarada!
Tylko całość pozostała, lecz to już nietrudne
Pomalować białe jajo, aby było cudne;
(Potrafią to najlepiej te wiejskie dziewczęta),
Która więcej chłopcom rozda pewnie za mąż wzięta.
Inne znów zwyczaj mają chować za pazuchy,
Ale z tego korzystają tylko chłopcy zuchy,
Bo gdy wlezie za pazuchę, tam pisanek kopa!
To już szczęście dla dziewuchy i dla tego chłopa.
Ale teraz na nas kolej panie Redaktorze!
Spodziewam się, że i dla siebie ja też coś przysporzę,
Bo kiedy cała szarada zupełnie skończona,
Spodziewam się dostać przygody Jana Chryzostoma.

Franciszek Markiewicz.

* * *

Nadto rozwiązania nadesłali PP.:

Michał Dudek z Ż., Władysław Stefański z G., Wojciech Bober z H., Szymon Opoka z S., Józef Witek z S., Adela Bezokówna z K. m., Antek Skrzydelski ze Lwowa, Z. Bogdański z J., Fr. Migdał z S., Józefa Hirschberg z K., Jan Inglot z S., Jędrzej Malinowski z Cz., Ks. Jan Koza z Ż., Kazimierz Suchodolski z H., Michał Pietryka z B.

* * *

„Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska“ przy losowaniu jako nagrodę otrzymał **Józef Witek z S.**

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. P.: Jan Prząda w Ł.: Za słowa uznania i chęć rozpowszechniania *Roli* serdecznie dziękujemy. Gdyby każdy Czytelnik tylko jednego prenumeratora nowego zjednał, moglibyśmy wkrótce *Rolę* powiększyć. Numera na okaz wysłaliśmy według podanych adresów. — Karol Baron w P.: Żałujemy bardzo; żeśmy miłego gościa nie mogli powitać. Nr. 13 wysyłamy. — Jan Lasota w Bochum: Wysyłamy i czekamy na prenumeratę. — Andrzej Karaś w P.: Dobrze, ale prosimy pamiętać o przyrzeczeniu. — Wiktor Stelmach w W. t.: Dobrze, byle niedługo. — Roman Osiniak w K.: Dobrze. — Józef Latawiec w W. t.: Dobrze, byle wnet. — Szymon Opoka w S.: Zastosujemy się do życzenia. Jeżeli Pan często będzie rozwiązania nadsyłał, może los trafi. — Wojciech Bugała w J.: Wysyłamy regularnie pod podanym adresem przy zamówieniu. Jeżeli Panowie przeprowadzili się, poczta powinna była adres poprawić, lub nam gazetkę zwrócić. Wręczając ją komu innemu, postępowała niewłaściwie. Obecnie adres zmieniliśmy, a numera reklamowane wysłali. — Kółko rolnicze w Babulach: Wysyłamy. — Jan Marek w N.: *Rolę* wysyłamy najregularniej do Niegłowic. Prosimy upomnieć się na poczcie w Jaśle i zapytać komu dawali gazety. Coś zadużo zażaleń na temtejszą pocztę. Prosimy o odpowiedź, gdyż odniesiemy się do Dyrekcyi poczt we Lwowie. — Filip Jaskot: Napiszemy do P. Kaczaka. — Antoni Puzio w K. w.: Niestety, kalendarzy już nie mamy! Prosimy o zawiadomienie na co przeznaczyć 60 hal. Może zapisać na przyszły rok?

W dalszym ciągu nadesłali prenumeratę PP.: Dyrcz Józef z J. (4 K), Puzio Antoni z K. w. (4 K 60 h), Jan Mikuła z D. (3 K), Stanisław Siciarz z J. (2 K), Wincenty Kozbiał z N. (2 K.), Marya Korytkowa z S. (1 K), Antoni Niezabitowski z S. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 29 marca:

Buhaje	Kor.	135	do	230	za sztukę
Woły z paszy	„	140	„	250	„
Krowy	„	130	„	220	„
Jałówki	„	60	„	140	„
Cielęta	„	22	„	52	„
Swinie	„	150	„	170	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 29 marca:

Pszenica	Kor.	13·20	do	13·60	za 50 kg.
Żyto	„	8·75	„	10·—	„
Jęczmień	„	7·50	„	7·70	„
Owies	„	7·20	„	7·40	„
Otręby pszenne i żytnie	„	5·50	„	5·60	„

SKROMNY.

— Żeń się pan z Zosią... ja jej dam tyle tysięcy posagu, ile ma lat wieku.

— Ileż więc wyniesie posag córeczki?

— Czterdzieści dwa tysiące.

— Och... panie — to stanowczo za wielki posag dla mnie.

SPRÓBUJ DUSZKO.

— Och, znam twój brak serca! Ręczę, że gdybym umarła, nie przyszedłbyś ani razu na mój grób!

— Najpierw spróbuj, a potem mów!

PRAWDZIWY BOGACZ.

— Dzień dobry, panie Onufry! Już pan na przechadzce?

— Tak, przechadzam się przed południem, abym po południu już nie potrzebował mieć nic do roboty.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.